

O ŻYDZIE NA STRYCHU I TOŻSAMOŚCI MIESZAŃCA

Z Joanną Bator, autorką *Piaskowej Góry*, *Chmurdalii* i *Ciemno, prawie noc*, oraz jej tłumaczką na język niemiecki Esther Kinsky rozmawia Magdalena Waligórska

Magdalena Waligórska: Motyw, który najbardziej mnie zafascynował w *Piaskowej Górze*, to ta podskórna, nieuświadomiona inność Pani postaci. Najbardziej stereotypowo polska Jadzia okazuje się córką ukrywającego się Żyda, Ignacego. Najbardziej swojsko polski Stefan okazuje się synem wędrownego rosyjskiego cyrkowca, Wowki. Obie te postaci: Ignacy, wykształcony Żyd z Warszawy ukrywający się w małej wiosce i Wowka cyrkowiec to postaci „radikalnego” innego, który wkracza w polską scenę z innego świata i jest tu niekoniecznie mile widziany. Czy przesłaniem *Piaskowej Góry* ma być to, że Polska powojenna, homogeniczna etnicznie, jest w istocie iluzją, bo inność jest w nas wpisana, jeżeli nawet nieuświadomiona? Czy ten tajemniczy, zapomniany ojciec w życiorysie Jadzi i Stefana oraz historia Dominiki, która odkrywa żydowską tajemnicę w swoim życiu, jest artykulacją naszego współczesnego polskiego marzenia o inności? Czy jest tak, że chcielibyśmy, jak Halina Chmura, wszyscy znaleźć alternatywny album rodzinny, w którym mamy ciekawszych przodków?

Joanna Bator: Myślę, że te wątki można też faktycznie rozpatrywać jako podważenie jednego z polskich mitów – a może bardziej fantazmatów – homogenicznej polskości. Ma on skomplikowaną socjogenezę i wiele wymiarów. Po drugiej wojnie światowej pełnił funkcje kompensacyjne a zarazem był wykorzystywany politycznie. Ponadto w polskim *imaginarium*, a więc i w jego różnorodnych reprezentacjach, silne jest pragnienie posiadania pięknej linearnej przeszłości, a mimo wielu lat socjalistycznej propagandy czy wartościowej i docenianej literatury tzw. nurtu chłopskiego, najlepiej byłoby, aby nasi przodkowie mieli szlacheckie pochodzenie,

jasne twarze i błękitne oczy oraz koniecznie byli patriotami i powstańcami. To oczywiście jest iluzja, której podtrzymywanie i wręcz wzmacnianie przez tych, którzy skorzystali z powojennego awansu społecznego, jest psychologicznie zrozumiałe, tak samo jak przez tych, co mogli już tylko żyć wspomnieniami dawnej świetności. W tym sensie wspomniane wątki w *Piaskowej Górze* można odczytywać jako wskazanie, że wcale tak nie było. Oprócz tych pięknych przodków jest jakiś Żyd na strychu i rosyjski akrobata Wowka, a nowe pokolenia stają się bardziej podejrzliwe wobec zbyt pięknych historii.

Ale *Piaskowa Góra* nie była dla mnie komentarzem politycznym ani rozprawą o polskiej tożsamości. Do napisania tej powieści w pewnym sensie zmusiła mnie moja własna tożsamość: tożsamość Polki urodzonej na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych. Pochodzę z rodziny, której brakuje mocnej linearnej narracji o przeszłości. Są tylko ślady, fragmenty. Ukazywały one jednak wyraźnie heterogeniczność tego minionego świata, jego niejednoznaczność. Jeden gest, jaki można by uczynić, to wybrać coś z tych fragmentów, na przykład fragment żydowski, i żyć ze złudzeniem, że to coś załatwi. A drugi możliwy gest, który, jak sądzę, właśnie uczyniłam w *Piaskowej Górze*, to przyjęcie tożsamości mieszańca i stworzenie z niej źródła siły.

M.W.: Jednym z głównych wątków powieści jest żydowska inność widziana polskimi oczyma i przez pryzmat polskich stereotypów i uprzedzeń wobec Żydów. Bohaterowie mówią językiem pełnym epitetów, jak „Cyganicha”, „gudlajka” i „mojżeszowy”. Mówią o „zżydzeniu” lub „użydzeniu”. Jak trudne było dla Pani przełożenie tego polskiego języka antysemityzmu dla niemieckiego czytelnika?

Esther Kinsky: W języku niemieckim tego typu słowa po prostu nie istnieją. W związku z tym oddanie takich niuansów staje się niemożliwe. Niektóre słowa są nieprzetłumaczalne. To jest coś, czego tłumacz uczy się z biegiem czasu, i musi się z tym po prostu pogodzić. Nie można pracować z przypisami, można tylko liczyć na to, że czytelnicy książki okażą zainteresowanie lub mają już wiedzę, która pomoże im rozpoznać ukryte treści. W języku niemieckim nie można wyrazić ich tak jasno. Nawet jeśli zostałyby ujęte jaśniej, za pomocą sztucznych środków literackich, przypisów czy innych metod, niewiarygodnie zaszkodziłoby to tekstowi. Szczerze mówiąc, jako tłumacz nie bardzo wierzę w rolę pośrednictwa kul-

turowego. Wyraźne oddanie tych wszystkich ukrytych treści nie interesuje mnie tak bardzo jak językowa strona dzieła i, oczywiście, jego tematyka. Myślę, że tak czy inaczej, przez przekład takiego tekstu literackiego, przez udostępnianie go odbiorcom w danym kraju, przygotowuje się grunt, daje się impuls, który może przyciągnąć czytelników i pomóc im dostrzec pewne zjawiska.

M.W.: Czy uważa Pani przypis za porażkę?

E.K.: Może nie za porażkę, ale uważam, że w tekstach literackich przypisy nie mają czego szukać, jeśli tylko można ich w jakiś sposób uniknąć. Sądzę, że tekst musi sam wyjaśniać pewne kwestie, nawet jeśli mamy do czynienia z różnicami kulturowymi.

M.W.: W powieści jest scena z tak zwanej Karczmy Pivnej z Ickiem Łapcykiem w roli głównej, który żydlaczy i opowiada żarty.

J.B.: To jest autentyczny tekst z Karczmy Pivnej, czyli jednej z tradycyjnych, zwyczajowych i mniej oficjalnych imprez związanych z Dniem Górnika, przypadającym 4 grudnia. Obchodzono go hucznie, zwłaszcza w czasie, kiedy górnictwo było uznawane za podstawę polskiej gospodarki. W Wałbrzychu dawno już zamknięto wszystkie kopalnie, ale ich byli pracownicy wciąż świętują Barbórkę. Icek Łapcycek jest bohaterem teatralno-kabaretowej części wałbrzyskich Karczm Pivnych. Zaintrygowana pokazywałam ich scenariusz historykom z Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie, którzy uznali, że bardzo dobrze trzyma się on konwencji żydowskiego humoru. Nie mieści się już w niej natomiast postać Stefana i jego odbiór postaci Żyda, który z jego perspektywy jest kopią kopii, choćby dlatego, że Stefan Żydów nie zna. Są lata siedemdziesiąte i ostatnich Żydów z Polski „skłoniono” do wyjazdu. W Wałbrzychu też ich już wówczas nie zostało wielu. Ale byli zaraz po wojnie, pracowali w kopalniach.

M.W.: Czy wśród artystów występujących podczas Karczmy Pivnej bywali po wojnie Żydzi?

J.B.: Rzecz jasna, chodzi o artystów amatorów, którzy swoje występy opierali na scenariuszach przekazywanych z roku na rok. Ich autorstwo

często było zbiorowe. Nie przeprowadziłam co prawda badań historyczno-etnograficznych, ale sam sposób konstrukcji postaci Icka Łapcycka wskazuje na to, że Żydzi brali w tym udział. To było przecież święto górników.

M.W.: Jakich trudności w tłumaczeniu przysporzyła ta scena?

E.K.: Z perspektywy czasu okazało się, że opowieść o Karczmie Pivnej to najtrudniejszy fragment książki. Muszę też przyznać, że nie wiedziałam tego, o czym wspomniała Joanna. Myślałam, że to był taki tradycyjny antysemicki numer w Karczmie Pivnej, prezentowany przez polskich górników jako pewnego rodzaju żart karnawałowy. Nie wiedziałam lub nie rozumiałam, że żydowscy górnicy najwyraźniej wyszydają ortodoksyjnych Żydów. Choć właściwie jest to sprawa drugorzędna. Na uwagę zasługuje na przykład to, że w latach siedemdziesiątych górnik Stefan ma nadal w swoim słowniku słowo „pejes”. Wskazuje to na obecność w języku polskim słów żydowskich, które nie istnieją w języku niemieckim. Wątpię, by w latach siedemdziesiątych można było znaleźć górników w Zagłębiu Ruhry, którzy posługiwaliby się takim rodzajem słownictwa, co naturalnie sprawiło ogromną trudność w tłumaczeniu.

M.W.: Dolny Śląsk należał do miejsc, gdzie osiedliło się wielu Żydów, którzy przeżyli Holocaust. Czy Wałbrzych nosi jeszcze ślady żydowskiej obecności?

J.B.: Jeden ślad, o którym już wspomnieliśmy, to obecność Icka Łapcycka na Karczmie Pivnej, podczas teatralnych przedsięwzięć górników. Drugi ślad to dzielnica w Wałbrzychu, część starej dzielnicy Sobiećin, którą wszyscy dotąd nazywają Palestyną. Na tym poniemieckim Sobiećinie w poniemieckich kamienicach osiedlili się po wojnie ocaleli Żydzi. Ich już nie ma, nazwa została. W mojej osobistej mikrohistorii pozostało jeszcze słowo, piękne polskie słowo: „niedobitki”. O tych Żydach z wałbrzyskiej Palestyny mówiło się „niedobitki”. To słowo miało dla mnie tak straszną moc, że wraca w mojej najnowszej powieści, *Ciemno, prawie noc*, razem z Palestyną. Był jeszcze lekarz o niesamowitym, we freudowskim znaczeniu niesamowitym, nazwisku – doktor Jedwabny.

M.W.: Przez *Piaskową Górę* ciągnie się „zapach spalenizny”. A centralny dzień w powieści, i jedyna data, jaka jest w niej wspomniana, to 10

lipca: dzień pogromu w Jedwabnem. Powieść kończy się też podpaleciem, w którym giną Zofia i Ignacy, a którego sprawcą jest Janek Kos – nieprzypadkowo noszący to samo imię i nazwisko co najbardziej ikoniczny polski żołnierz-bohater. *Piaskowa Góra* i, w jeszcze większym stopniu, *Chmurdalia* są zarazem przepojone realizmem magicznym. Są tam dobre duchy, które pomagają bohaterkom, w *Chmurdalii* pojawiają się tajemnicze syreny. Czy ta magiczność koduje nam prawdę nie do zniesienia: że to nasi dziadkowie, Jankowie Kosowie, których znamy jako bohaterów wojennych legend, byli w istocie uwikłani w zbrodnię przeciwko Żydom?

J.B.: Nie jest tak, że oto w tym miejscu narracji wprowadza się „moment magicznego realizmu”, by zakamuflować pewną informację czy opinię. Zwrócę uwagę na dwie rzeczy, które w związku z tym pytaniem należy rozdzielić. Już po napisaniu powieści sama się zastanawiałam i poniekąd zostałam zmuszona do zastanowienia się na tym, skąd się bierze ów realizm magiczny. Po raz pierwszy daje on o sobie znać, kiedy czuje się, jak materia – to, z czego wysnuwa się narracja – zaczyna uciekać, rozsnuwać się. Pisząc, mam bardzo wyraźne poczucie, że ręce mam pełne – lepiej tego nie potrafię opisać – pełne czegoś żywego, materii, którą dopiero trzeba ukształtować. Odnosi się to do fragmentu w *Piaskowej Górze*, kiedy włosy Dominiki zaczynają rozrastać się po mieszkaniu, a także do sceny, kiedy kobiety robią na szydełku ubranka do chrztu i ta włóczka oplata miasto.

Druga, odmienna sytuacja ma miejsce wówczas, kiedy narracja się tak rozpędza, że narrator osiąga jasną wizję czy wręcz wiedzę o tym, co będzie dalej. Widzi swoich bohaterów czy bohaterki tak wyraźnie, że nabierają magicznych kształtów; bohaterki nagle zamieniają się w syreny i mówią „szybciej, szybciej, już wszystko wiadomo”. A jeśli chodzi o Janka Kosa, to kiedy się pojawił, miał już na imię Janek Kos. Nie zastanawiałam się: „Jak ja go teraz nazwę?”. On był Jankiem Kosem od początku. Dlatego że te straszne rzeczy, każde ludobójstwo, popełniają zwykli ludzie, którzy mają zwykłe imiona i nazwiska, zwykłe wąsy albo zwykły brak wąsów. Jeśli chodzi o koniec książki, to pracując nad *Piaskową Górą*, nie wiedziałam, dokąd mnie ona zaprowadzi. Jechałam autobusem na uniwersytet i przypomniał mi się doktor Jedwabny. Wtedy wszystko już było jasne.

M.W.: Jedwabne jest dla Polaków jednym z centralnych obrazów, filtrów, doświadczeń zbiorowych, przez które patrzymy na polsko-ży-

dowską przeszłość. Jednocześnie jest to historia, która budzi emocje i jest odrzucana przez dużą część społeczeństwa, ponieważ stoi w konflikcie z polskim mitem narodowego cierpienia i bohaterstwa w czasie wojny. Jak starała się Pani tę „jedwabieńską” metaforę przetłumaczyć dla niemieckiego czytelnika? Czy to polskie doświadczenie w ogóle da się przetłumaczyć?

E.K.: Sądzę, że również tutaj, w Niemczech, Jedwabne stało się w jakiś sposób częścią dyskursu o antysemityzmie. O Jedwabnem bardzo dużo się tu mówiło, więc nie miałyby sensu tego tłumaczyć. Dokąd miałyby zmierzać takie tłumaczenie? Można jedynie mieć nadzieję, że te metafory zostaną zrozumiane, że ktoś, kto uważnie czyta i interesuje się Polską i polską literaturą, pojmie, o czym tu mowa.

M.W.: W *Piaskowej Górze* spotykamy nie tylko „innych” ludzi, ale także „inne” przedmioty i miejsca: pożydowskie lub poniemieckie firanki, pierścionki, mieszkania, toalety, które polska ludność napływowa z mozołem adaptuje na swoje potrzeby, udomawia, przyswaja. Mimo to nowo nabyte przedmioty i przestrzenie nie przynoszą im szczęścia. Pożydowski pierścienek wyludzony przez Kazimierza Maślaka od zdradzonego Żyda ginie tajemniczo razem z jego nieszczęśliwą żoną Barbarą. Poniemieckie mieszkanie z „szafami po hitlerowcach” i „gestapowskimi sedesami” nie daje Stefanowi Chmurze satysfakcji. Przy „poniemieckim stole” źle się siedzi. Sławomir Sierakowski i Kinga Dunin w manifeście fikcyjnego Ruchu Odrodzenia Żydowskiego w Polsce napisali, że jedynym lekarstwem na upiory „innych” nawiedzające Polaków w koszmarach jest symboliczne zwrócenie zagarniętych przedmiotów ich dawnym właścicielom. Pani powieść też sugeruje, że pozbycie się, zagubienie, wyrzucenie, zniszczenie tych poniemieckich i pożydowskich rzeczy przynosi bohaterom jakąś katharsis. Czy uważa Pani, że pożydowskie i poniemieckie sprzęty w polskich domach są naszym przekleństwem?

J.B.: Bardziej interesuje mnie osobista mikrohistoria, z której ta książka powstała. W tej mojej osobistej mikrohistorii nie ma przedmiotów pożydowskich. Są przedmioty poniemieckie. Stosunek do przedmiotów, które pozostały po Niemcach, musi z natury być inny niż stosunek do przedmiotów po Żydach. O przedmiotach poniemieckich jakoś można było powie-

dzieć, że nam się należały. Tak, to sformułowanie wysuwa na pierwszy plan pewne roszczenie, wręcz żądanie, ale określenie „poniemieckie” miało też sens czysto opisowy, identyfikujący dane przedmioty. Nie były już tylko niemieckie, były przez Niemców – mniejsza o to, że nie dobrowolnie – pozostawione. Żyliśmy wśród nich i z nimi, coraz bardziej wrastały w życie codzienne, stawały się „nasze”, co wcale nie musiało zacierać ich wieloznacznego statusu. Trzeba było się jakoś z nimi oswoić.

Proszę sobie uprzytomnić sytuację wyrwania – niedobrowolnego – ze swojego dawnego miejsca, często miejsca, do którego nie można wrócić, bo zostało zniszczone lub zawłaszczone przez innych. Ludzie wysiedlani na mocy decyzji politycznych ze swoich domów na wschodzie przedwojennej Polski lub ci, którzy musieli szukać sobie nowego miejsca, nie trafiali przecież na pustynię. Zajmowali cudze domy, w których, zwłaszcza tuż po wojnie, stały należące kiedyś do kogoś łóżka, pozostawały cudze sprzęty. A kiedy tak nie było, własną przestrzeń trzeba było zagospodarować tym, co dostępne – tym, co „poniemieckie”. Sytuacja egzystencjalnie wstrząsająca, freudowsko niesamowita. Nie wolno zapominać też o tym, że miało to inny wymiar zaraz po 1945 roku, a inny u progu lat siedemdziesiątych. Ale nawet jeśli na początku pojawiała się retoryka zdobywców czy wyrównywania krzywd, to podskórnie stanowiła ona racjonalizację poczucia nieswojskości, które z biegiem czasu ewoluowało i nabierało nowych odcieni znaczeniowych. Wychowywałam się w domu wśród poniemieckich przedmiotów. Zawsze w jakiś sposób, chociaż może nie tak świadomie jak teraz, stawiałam sobie pytanie, czy one nam się należą. Zapewne z tych powodów, przez tyle lat życia, przez wszystkie swoje mieszkania, ciągnęłam za sobą poniemieckie naczynie do ponczu. A naprawdę ciężko było je z sobą wozić. Drugim takim obiektem jest album, który pojawia się też w *Piaskowej Górze*, chociaż ten, który kiedyś dostałam, poniemiecki, był pusty. Ktoś z niego wyciągnął zdjęcia, jakaś Niemka, bo to musiała być kobieta. Wyjęła z niego zdjęcia, zanim wyjechała z Wałbrzycha.

Pytanie, do kogo należy ten album, przypomina mi o książce Lidii Ostalowskiej *Farby wodne*, która opowiada historię pewnej Żydówki malującej w obozie zagłady na polecenie doktora Mengele portrety Cyganów. Te akwarele zostały odnalezione i trafiły do muzeum. Ich autorka po latach chciała, by jej te prace zwrócono. Do kogo należą portrety Cyganów malowane w obozie? Do kobiety, która je malowała, bo w przeciwnym razie straciłaby życie? Do tego, kto zlecił prace? Czy do tych, którzy tam zginęli w komorach gazowych?

M.W.: Polski przymiotnik „pożydowski” jest zupełnie unikatowy w Europie Środkowej. Nie istnieje ani w języku czeskim, ani w rosyjskim, ani w litewskim. W jaki sposób można niemieckiemu czytelnikowi przekazać złożoną naturę takich słów jak „pożydowski” i „poniemiecki” i ich konotacji w polskim?

E.K.: Przede wszystkim: możliwe, że jako epitety są to słowa wyłącznie polskie, ale jako typ, jako słowotwórcza możliwość, istnieją we wszystkich językach słowiańskich. Zawsze można połączyć „po” z przymiotnikiem, ale zadaniem tłumacza jest sprawdzenie, co można z tym zrobić, ponieważ język niemiecki nie jest nawet w przybliżeniu tak produktywny i kreatywny jak języki słowiańskie. Jednocześnie oba te słowa należą do tych, które na samym początku sprawiły mi największą trudność, i z którymi jako tłumaczka musiałam się skonfrontować. Pamiętam dobrze wspaniały esej Stefana Chwina *Ogrody Hitlera*, nigdy w całości nieprzetłumaczony, w którym autor poruszał problem estetyki niemieckiej w jednej z dzielnic Gdańska, Oliwie. Te wątki pojawiają się prawie we wszystkim, co tłumaczyłam z polskiego. Pod tym względem słownictwo to jest mi znane, ale mimo upływu czasu nie znalazłam lepszego rozwiązania niż użycie zwrotu *ehemals deutsch* albo każdorazowe dopasowywanie do kontekstu. Naturalnie, nie można użyć tej formy tak prosto jak przymiotnika w języku polskim, ale inaczej się po prostu nie da.

M.W.: W *Piaskowej Górze* pisze Pani w pewnym miejscu o Halinie Chmurze, która przybywa na Ziemię Odzyskane i staje się „jedną z przesiedleńców, a przesiedleńca nawet nie ma żeńskiego rodzaju”. Czy trudno było Pani znaleźć odpowiedni język, by opisać doświadczenia migracyjne, szczególnie te, które przypadły w udziale kobietom?

J.B.: Nie musiałam go szukać. To jest mój język, który odziedziczyłam, mój język matczyny. To mój język pierwszy, który słyszałam wokół od dzieciństwa. Rodzice ze strony mojego ojca byli przesiedleńcami. Mama przyjechała do miasta z innej części Polski. W mojej rodzinie wszyscy skądś przyjeżdżali, dokądś musieli się przenieść. W języku polskim oprócz „przesiedleńca” wiele innych słów nie ma rodzaju żeńskiego. Niestety. Ale tworzymy je powoli.

E.K.: Jeżeli chodzi o problemy z przekładem, także Olga Tokarczuk poruszała podobną tematykę, więc miałam spore doświadczenie z tłumaczeniem takich tekstów. I nie jest tak, że w niemieckim brakuje nam odpowiedniej leksyki. Problem polega raczej na tym, że wielu Niemców w ogóle nie wie o tych przesiedleniach z przedwojennego wschodu Polski na zachód. Do tej pory mało się tutaj o tym pisze i jest to fakt niezbyt znany niemieckim czytelnikom.

**opracowała Nina Müller,
przełożyła z języka niemieckiego Izabela Suszczyńska**

